DZIENNIK WARSZAWSKI.

Sobota 25 Czerwca / 7 Lipca 1855 roku. № 175. Jutro ŚŚ. Elżbiety W. i Jana z Dukli.
Wschód słoń. o god. 3 min 50. — Zachód o g. 8 m. 19.

WIADOMOŚCI KRAJOWE.

Rada administracyjna królestwa postanowiła co następuje: Walenty Beze, pochodzący z miasta Warty, w powiecie Kaliskim, który w roku 1845 zbiegł za granicę i miał udział w buncie Węgierskim, uznany jest za wygnańca i ulega karze konfiskaty majątku, bądź już zasekwestrowanego, bądź następnie jeszcze wykryć się mogącego, a to wedle prawideł postanowieniem z dnia 2 (14) kwietnia 1835 roku wskazanych.

Warszawski ober-policmajster. — Celem wprowadzenia w wykonanie postanowienia JO. Księcia Namiestnika Królestwa z dnia 24 grudnia 1823 r., i dla usunięcia praktykowanego dotąd nieporządku, pod względem nieregularnego przybywania do służby służących, w ponowieniu tyloliczych przez pisma publiczne obwieszczeń, a mianowicie ostatniego w Gazecie Policyjnéj Nr 274 z 1846 r. zamieszczonego, wzywa mieszkańców tutejszych, ażeby stosownie do art. 16go powołanego postanowienia, służących mających zmieniać służbę, w terminach, w których do nowo-objętéj służby stawić się są obowiązani, a mianowicie: 2 stycznia, 2 kwietnia, 2 lipca i 2 października uwalniali, w przeciwnym bowiem razie, służący bez względu na domowe zatrudnienia, przez policję wykonawczą zabierani i do nowo-przyjętéj służby odprowadzani będą. — Warszawa dnia 23go czerwca (5go lipca) 1855 roku. — Jenerał-major, *Gorłów*.

— W dalszym ciągu czynności na poniedziałkowem posiedzeniu centralnem Warsz. tow. dobroczynności, między innemi postanowiono: aby dla uczczenia pamięci zmarłéj protektorki zakładu sierot, hrabiny Zofji z hr. Starzeńskich Ożarowskiéj, która tyle dobrego świadczyła nieustannie biednym, zawieszono portret dostojnéj nieboszczki w sali tegoż towarzystwa; nadto na miejsce ś. p. hrabiny, jako protektorki zakładu sierot, obrana została dotychczasowa protektorka starców i kalek JW. Róża z hr. Potockich, hr. Andrzejowa Zamojska; na miejsce hrabiny Zamojskiéj, dotychczasowa protektorka zupy Rumfordzkiéj JW. jenerałowa Kurnatowska; na jéj zaś miejsce, wice-protektorka tegoż wydziału, JW. Julja z książąt Druckich-Lubeckich Pusłowska; a na wice-protektorkę wydziału zupy Rumfordzkiéj, JW. Alexandra z hr. Laval hr. St. Kossakowska. — Obok tego, wice-prezes wydziału examinacyjnego, W. Jan Gautier, mianowany został prezesem tegoż wydziału, a w miejsce jego przeznaczony W. Wincenty Moritz. Sekretarzem zaś tego wydziału, w miejsce członka W. Borowskiego, mianowano W. Jakóba Piotrowskiego. — Nadto, uchwalono jednomyślnie aby za 20-letnie i z całą gorliwością pełnienie obowiązków starszego sekretarza towarzystwa W. Wilhelma Schmeltzera, udzielić temuż piśmienne od towarzystwa podziękowanie. — Nakoniec, na sekretarza wydziału opieki sierot, w miejsce dotychczasowego sekretarza W. Gebhardta, który zajął miejsce, jak to już pisaliśmy w swoim czasie W. Schmeltzera, zanominowano dotychczasowego sekretarza wydziału zupy Rumfordzkiéj, W. Adama Kleczkowskiego.

— „Sztafeta do pięknych amatorek muzyki i tania polka tremblante,“ skomponowana na fortepian, przez Gustawa Lazzerini, wyszła nakładem księgarni i składu nut muzycznych R. Friedlein, przy ulicy Senatorskiéj Ner 460, cena kop. 22 i pół. W téjże księgarni zostały złożone w komisie następujące nuty: „Mazur,“ skomponowany na korzyść domu ochrony w mieście Radomiu, ułożony na fortepian przez Konstantego Lubońskiego, kop. 15. „Mazur,“ Florjana Miładowskiego, skomponowany na fortepian, kop. 30. Powyższe nuty nabyć także można w tutejszych jako i na prowincji składach nut muzycznych.

— W dniu wczorajszym zachorowało na cholerę osób 17, wyzdrowiało 22, umarło 1, pozostaje chorych 145.

* *Ksiądz Mrongovius.* — Od literatów naszych, mieszkających w Księstwie Poznańskiem lub w Prussach zachodnich, będziem się upominali o żywot zacnego Mrongoviusa, który na dniu 3 czerwca roku bieżącego w Gdańsku, jako stu-letni prawie starzec, zakończył ziemski swój a poczciwy i pełen poświęcenia się zawód. Gizewiusz młodszy, umarł przed kilku laty, a Mrongovius starszy, przeżył go. Mrongovius należy do rzędu takich ludzi, których historja nigdy niezapomina, choć to ani genjusze, ani wielkie talenta, ani przewodnicy, ani bohaterowie. Serce robiło go wielkim, a większym był jeszcze Mrongovius, dla tego że żył w téj, a nie w innéj chwili. Gdzie on nie pracował, czego on czynnością swojego umysłu nie dotknął? Jako pastor ewangelickiéj gminy polskiéj, jako profesor literatury naszéj w gimnazjum gdańskiem, miał bardzo rozległe pole działania na Pomorzu. Ale Mrongovius był jeszcze uczonym i wielkich przedsięwzięć, wszystko obejmującym literatem. Rzeczywiście trudno nie bez podziwienia mówić o nim. To krząta się około pieśnio-księgu ludowego, zbiera starożytne urywki błąkające się po ustach ludu po nad brzegami morza, i zbiór swój drukiem ogłasza (1803). To układa słownik niemiecko-polski i lepszy jeszcze słownik polsko-niemiecki, pierwszy we dwóch, drugi w jednym ogromnym tomie. Nie przypadkowa to, nie chwilowa praca: Mrongovius jest lexykografem, gramatykiem w całem znaczeniu tego wyrazu, jakim np. jest Linde, dopełnia też Lindego w słownikach swoich. Dotąd nie mamy lepszych słowników niemieckich jak Mrongoviusa, to też mnożą się ich wydania, znajdują się uczeni co ich dopełniają, nakładcy co za bezcen sprzedają słownik na prenumeratę. Ostatnie trzecie wydanie poprawne i bardzo pomnożone słownika niem.-polskiego, wydał dr Wyszomierski w Królewcu, nakładem Bornträgerów w r. 1853. To pisze Mrongovius gramatykę polską, rozpocząwszy już raz na téj drodze swoje badania. Autorów greckich tłómaczy na język swój ulubiony, historyków, filozofów. Mało posiadamy tłumaczeń greckich, Mrongovius mnoży nasze bogactwo, daje nam najpiękniejsze ustępy Xenofonta. Mrongovius nie bierze pierwszego lepszego, co z brzegu, umie wybierać, chce wybierać, lubi filozofję, zajmuje się nią, a raczéj ma zawsze na celu zbogacać literaturę polską arcy-dziełami myśli. Stąd tłumaczy i Kanta, i jedna z ostatnich prac jego, o któréj wspominaliśmy w r. z. w Dzienniku, była poświęcona temu właśnie filozofowi. Niedosyć na tém: Mrongovius czas znajdzie, na wydanie dawnych poetów polskich, któremi się lubuje. Drukuje np. w Gdańsku czwarte wydanie *Flisa* Klonowicza. Niepiszem szkicu o Mrongoviuszu, bo na to potrzebaby więcéj mieć zebranych szczegółów, więcéj być obeznanym z miejscowością, jak my obecnie mamy i jak jesteśmy. Wszystko to rzecz tych uczonych polskich, którzy z Gdańskiem łatwo komunikować się mogą, którzy są bliżéj źródła, dla tego ani w połowie niewyczerpujem tutaj niewyczerpanego prawie przedmiotu. Żywot albowiem Mrongoviusa to historja jego ziemi.

Dodamy tutaj jeszcze że jako człowiek serca, charakteru i nauki, miał Mrong. ogromne stosunki na świecie. Pisywali do niego najwięksi ludzie ostatnich lat, znamienitości towarz. przyjaciół nauk. Kanclerz Rumiancow, wzywał Mrong., żeby kosztem jego całe Kaszuby objechał i zdał sprawę o ich narodowości (w r. 1826). Wiele towarzystw uczonych wybrało go na członka. Ze wszech stron odbierał takie dowody spółczucia. A jednak mimo to wszystko, zacny Mrongovius nieraz walczył z niedostatkiem. Na druk słownika swego prawie żebraniną zgromadzał fundusz, jak się o tem przekonać łatwo z pierwszego wydania (1821). U nas zawsze popłacają piękne słówka; mamy dużo spółczucia w ustach a nic w czynie. Chwalimy się poświęceniem, które nas nic nie kosztuje. To też cały ciężar niedoli musi wytrzymywać zawsze taki Mrongovius, i całą zasługę ma tylko pospolicie taki Mrongovius. Cześć wieczna pamięci najszanowniejszego człowieka!

WIADOMOŚCI ZAGRANICZNE.

ANGLJA.

Londyn 30 Czerwca. Stowarzyszenie reformy administracyjnéj, odbyło jak donieśliśmy drugi meeting w środę wieczorem w teatrze Druy Lane, i głównym mówcą był p. Ch. Dickens. Przytoczymy tu ustęp z téj pierwszéj politycznéj mowy tego sławnego powieściopisarza.

Już przeszło przed 18tu wiekami niektóre indywidua spodziewały się zostać sławnemi, przez to że »wiele mówiły.« Ponieważ od niejakiego czasu liczba uczniów téj szkoły znacznie się zwiększyła, a szczególniéj kwitnie w okolicach Westminster (śmiech), starać się przeto będę ile możności być zwięzłym i uniknąć policzenia mię między dzieci téj rasy gadatliwéj i rozwlekłéj. (Smiech).

Szlachetny lord stojący na czele parlamentu, zdziwił się jak to być może, że mój szlachetny przyjaciel pan Layard, którego cudowny i awanturniczy umysł dokazał tak wielkich prac dla krajn, historji i własnéj swéj chwały; szlachetny lord, mówię, zdziwił się, że pan Layard nie zarumienił się mówiąc w téj sali o faktach, o których prawdzie cały kraj jest przekonany, i w mowie swojéj potrafił pomieścić lekką alluzję do szczególnego przeznaczenia tego teatru Drury Lane. A ponieważ ja jestem nieco obeznany z teatrem, mógłbym z kolei rozwinąć figurę retoryczną szlachetnego lorda.

Mógłbym powiedzieć, że gdybym miał rekrutować towarzystwo komedjantów do służby Jéj Król. Mości, wiedziałbym doskonale gdzie szukać »starego komika« (krzyki i śmiechy) a gdyby mi wypadło układać pantominę, wiem także do którego zakładu udałbym się po sznurki i zmiany dekoracji (nowe śmiechy), na komparsach, także pewnoby mi nie zbywało.

Ale muszę szlachetnemu lordowi wyłożyć powody mego wyboru i wytłomaczyć mu dla czego sztuka którą tu odgrywamy, jeszcze daleką jest od rozwiązania, jakkolwiek jemu byłoby pożądaném jak najprędsze spuszczenie kurtyny. Aktorowie którémi kieruje szlachetny lord, są tak okropnie niezdolni, maszynerje tak stare i tak wiele miejsca zajmujące, role tak źle rozdane, towarzystwo tak bogate »w osoby nie mówiące« (śmiech); dyrektorowie tak płodni w potomków i tak troskliwi w rozdawaniu swoim dzieciom i wnukom tego co technicznym wyrazem nazywa się »pierwszemi rolami« nie dla ich zdolności, ale dla tego że należą do rodziny dyrektorów; że istotnie zmuszeni jesteśmy uorganizować opozycję przeciw podobnéj teatralnéj administracji. (Brawo.)

Przedstawili oni nam prawie jakby trajedję, komedję pod tytułem: *Szkoła błędów.* Sztuka ta doprawdy była nieznośną; my więc z kolei przygotowaliśmy sztukę p. t. *Szkoła reformy*, i spodziewamy się odegrać ją z zadowoleniem szlachetnego lorda i z wielką dla niego korzyścią (śmiech.) Jeśliby mu się nie podobało, że w ten sposób wzięliśmy się do poprawienia go w brew jego woli, pokazalibyśmy mu własną jego orkiestrę złożoną z dobrego muzykanta na piskliwych instrumentach, za które musimy ciągle płacić i t. d.

— Pan Persigny minister francuzki w Londynie, wyjechał z téj stolicy do Paryża.

— Czytamy w *Independance Belge:*

Kiedy w dniu 31 czerwca 1850 r. sir Robert Peel po raz ostatni przemówił w izbie gmin z powodu spraw greckich; odezwał się do ministra Anglji z zdaniami, które wychodząc z tych wymównych ust i dyktowane przez surową powinność, sprawiły głębokie wrażenie w parlamencie.

»Pokój panuje w téj chwili, powiedział on, w tém znaczeniu że nie ma nieporządków w Europie, i z tego założenia występując utrzymujecie, że wasza polityka jest tego rodzaju, że umie utrzymywać te przyjaźne stosunki jakie powinnyby istnieć między wszystkiemi narodami, z powszechną ich i indywidualną korzyścią. Liczycie na dyplomację, ale pytam was co to jest dyplomacja? (słuchajcie). Jest to kosztowna machina, przeznaczona do utrzymania pokoju. Jeśli nie używacie jéj dla przytłumienia złych namiętności indywiduów, dla zwalczenia niechęci narodów, w takim razie staje się ona narzędziem i kosztowném i szkodliwém. (Brawo). Jeśli więc dyplomacja wasza zasadza się na rozdrażnianiu wszelkich ran, na wywoływaniu niechęci, zamiast łagodzenia ich, na rozsyłaniu po wszystkich kątach Europy ministrów nie do zapobiegania i załatwiania sporów, ale dla utrzymania gwałtownych korespondencji i popierania tego co zowiecie interesem Wielkiéj Brytanji, przez wywołanie starć z reprezentantami innych narodów, wtedy powiadam, nietylko trwonicie znaczne summy, ale prócz tego ta wielka maszyna, któréj ucywilizowana społeczność używa do utrzymania pokoju, zamienia się u was w narzędzie nieprzyjaźni i wojny.«

To co sir Robert Peel mówił w roku 1850 o dyplomacji, mógłby dziś powtórzyć o prasie w Anglji. Prasa także jest potężném narzędziem cywilizacji, wykonywa ona w obec mass tę rolę którą dyplomacja odgrywa w gabinetach. Misją jéj jest zapobiegać kłótni, objaśniając opinję, obowiązkiem jéj uspakajać niechęci między ludami i indywiduami, a to zapewniając prawdzie tryumf nad błędem, i rozumowi, spokojności i roztropności, nad gwałtowną i nierozważną namiętnością.

Bezwątpienia w czasie wojennym, między państwa-

mi walczącemi, wtenczas gdy wszystkie uczucia i przesądy dochodzą do ostateczności i w powodzeniu równie jak w klęskach czerpią nowe podniety, przebacza się prasie nieco żywszy ton, lub nie dość surową, polemikę niekiedy nietyle sprawiedliwą ile gorącą i popularną.

Ale ten ton który aż do pewnego punktu daje się usprawiedliwiać stanem wojennym, nie może bez niebezpieczeństwa posuwać się aż do atakowania państw nie mających żadnego udziału w walce.

Użyta do podniecania namiętności i niechęci, do tworzenia nieprzyjaciół tam gdzie są sami tylko przyjaciele, prasa staje się także narzędziem nieprzyjaźni i wojny, podobnie jak ta dyplomacja którą sir Robert Peel karcił tak energiczną naganą, przyjętą tak głośnym oklaskiem przez izbę.

Otóż od rozpoczęcia teraźniejszéj wojny, prasa angielska dała przykłady postępowania którego mieliśmy prawo niespodziewać się po kraju, w którym ona potężniejszą jest niż w którymkolwiek innym kraju Europy. Nieograniczyła się ona na prześladowaniu najgwałtowniejszemi atakami ludzi, których dawne zasługi powinny były zasłonić przed wszelkiemi atakami, nie poprzestała na nazywaniu tych ludzi narzędziami Rossji, ale daléj jeszcze posunęła swoje pretensje. Roztrząsała, rozbierała, komentowała postępowanie państw neutralnych i tak dobrze wzięła się do dzieła, że tam gdzie sprawa któréj ma bronić, posiadała najżywsze sympatje w początku wojny, utworzyła jéj ona obojętnych, a może nawet przeciwników. (*Ind. Bel.*)

Londyn 30 czerwca. Czytamy w korrespondencji *Timesa* z Paryża z d. 26: W dniu nadejścia tutaj telegraficznéj depeszy o niepomyślnym ataku przeciw wieży Małakowa i Redanowi, mówiono z cicha że niepowodzenie głównie przypisać należy powolności i niedbałości Anglików. O ile wieść o zapomnieniu faszyn była prawdziwą lub fałszywą, tego powiedzieć nie mogę, ale to jest pewném, że, jak w swoim czasie wspominałem, jeden frazes lub dwa z depeszy jenerała Pelissier, wypuszczono w *Monitorze*. Jenerał Pelissier powiedział także, iż powody dla których jego wojska musiały wrócić na dawną pozycję, są zbyt obszerne, by je można przesłać telegrafem. Zaraz mi się wydawało, że tu chodzić musi o jakieś skargi, które stawi jenerał francuzki, na brak skombinowania się, albo energicznego poparcia ze strony swego angielskiego kolegi, a z tego co tu w ciągu ostatnich dni doszło do publiczności, wnioskować muszę, że tak było w istocie. Jednak skargi te, które dość swobodnie wyrażonemi były w wielu publicznych pismach, nie pierwszy raz się trafiają od czasu jak Pelissier objął dowództwo; gdyby zaś to było prawdą co mówią, że nie mała niechęć istnieje nie tylko w jego głównéj kwaterze, ale w ogóle w obozie dla téj saméj przyczyny, rzecz przybiera daleko ważniejszy charakter. Jeżeli tam mają istotnie powody do tego niezadowolenia, to im rychléj rząd nasz rzecz rozpatrzy, tem lepiéj. Imie angielskiego wodza naczelnego w Krymie nie powinno być przedmiotem żartu dla całego obozu, gdzie powtarzają o nim te słowa: »pionierowie i basta,«—nie dla braku męstwa albo zimnéj krwi pod ogniem, ale dla braku postanowienia w radzie, energji w działaniu, inicjatywy w obojgu. Wahające się i zwlekające usposobienie w ogóle, jest niefortunne dla nieszczęśliwego dotkniętego podobną chorobą, ale w okolicznościach takich w jakich się sprzymierzeni pod Sebastopolem znajdują, w obec czujnego i dzielnego nieprzyjaciela, gotowego do najbardziéj rozpacznych działań, usposobienie podobne jest niesłychanie niebezpieczném. Francuzi zaczynają się dziś żalić na prawdę, co może stać się przyczyną, że jakie przyszłe niepowodzenie przypisywać będą temu samemu powodowi.

Skargi dochodzące nas z Konstantynopola są takież same jak z Krymu. Każden list mówi tylko o wzrastającéj szorstkości i nieznośném usposobieniu lorda Redcliffe. Do téj pory nie było to tak ważném, gdy chodziło o naszego sprzymierzeńca, albowiem wiele rzeczy mogło przejść bez uwagi, na rachunek znacznie niższego w dyplomacji stopnia, jaki piastował p. Benedetti; ale podobne postępowanie ze strony człowieka, którego sami jego współrodacy opisują jako nadętego dumą, jako człowieka charakteru nietowarzyskiego, zgryźliwego i despotycznego, może wywołać daleko ważniejsze złe dziś, gdy wyższy dyplomat tam się udaje dla przedstawiania swego kraju. Smutnąby to jednak rzeczą było, gdyby przymierze pomiędzy dwoma krajami zostało, nie mówię silnie zagrożoném ale nawet w najmniejszy sposób draśniętém, niedorzecznemi sporami ludzi, którym dają wysokie stanowisko, nader hojnie płacą, książęce pałace, honory i tytuły nadają, by całkiem co innego robili i sprawą publiczną się zajmowali. P. Thouvenel, ambasador francuzki w Turcji, przejechał przez Strasburg w dniu 26 b. m., udając się do Konstantynopola przez Wiedeń i Trjest. (*Times.*)

— *Times* ogłasza następną depeszę telegraficzną z Gdańska z d. 29 czerwca: *Vulture* zawinął z pocztą. Flota stoi przed Kronsztadem. Odkryto 46 machin piekielnych. Jedna z nich wybuchnęła na rufie okrętu *Exmouth*. Admirał Seymour i kapitan Louis, którzy właśnie ją oglądali, zostali poranionymi ciężko. Porucznik został lekko raniony. *Vulture* spotkał eskadrę admirała Baynes koło wyspy Nargen. (*Times.*)

F R A N C J A.

Paryż 1 Lipca. Nietylko w przedmiocie posiedzenia zagajającego nadzwyczajne sessje senatu i ciała prawodawczego, pierwotne postanowienia zostały zmienione, i postanowiono że Cesarz osobiście zagai te posiedzenia; zdecydowano także na posiedzeniach rady w piątek i sobotę, że projekta praw o podatkach o których była mowa, a które miały być zachowane do zwyczajnych posiedzień ciała prawodawczego, będą mu teraz niezwłocznie przedstawione.

Jest ich trzy o ile dotąd wiemy. Pierwszy naznacza na dochód skarbu, opłatę dziesiątéj części czystego dochodu od przewozu pasażerów na kolejach żelaznych. Drugi przeznacza dodatkowe 10 centimów, to jest dziesięcinę wojenną od wszelkich niestałych podatków. Trzeci nakoniec podnosi znacznie istniejące opłaty od spirytusów.

Dochód z tych dwóch źródeł ma przynieść 60 miljonów franków. Wszelkie inne propozycje podwyższenia podatków, a mianowicie opłaty od soli, zostały przez Cesarza odrzucone. (*Independ. Belge*).

WIADOMOSCI Z WSCHODU.

Konstantynopol 21 Czerwca. Dzisiejsza poczta z Krymu oczekiwana z największą niecierpliwością, z powodu niepomyślnych pogłosek jakie wczoraj obiegały, przywiozła istotnie smutne wiadomości. Dawno już zapewnie wiecie przez telegraf o rezultatach boju z dnia 18 b. m., co do szczegółów sądzę także, iż raporty jenerałów sprzymierzonych uprzedzą pewno prywatne korespondencje. Poprzestanę zatem na doniesieniu, że po rozpoczęciu w dniu 17 bardzo żywego ognia przeciw wieży Małakowa, szturm przeciw tej strasznej warowni wykonany został w nocy 18go około trzeciej godziny po północy. Rozmaite okoliczności połączyły się fatalnie ku przeszkodzeniu ścisłemu wykonaniu planu ułożonego przez naczelnego jenerała, Rossjanie korzystali z nich z wielką zręcznością i energją, i w samym zaraz początku akcji zapewnili sobie korzyść, którą potrafili utrzymać do końca. Tak więc armje sprzymierzone poniosły klęskę.

Straty były niezmierne, nie mamy jeszcze dokładnych cyfr w tym względzie, ale są one bardzo wysokie. Wielu oficerów francuskich i angielskich poległo, między niemi trzech angielskich jenerałów Collin Campbell, Yea i Yarle i dwóch francuskich Brunet i Mayran. Nakoniec dzień ten był fatalny, ale może nie tyle ile chcą go przedstawić inni. Według nich nic niepozostaje sprzymierzonym tylko opuścić Krym zupełnie.

Przedwczoraj na żądanie ministra wojny, odbyło się u Porty nadzwyczajne posiedzenie rady, na którem zajmowano się wyłącznie położeniem armji anatolskiej. To położenie jest niezmiernie krytyczne, i nie można dość pospieszyć z przedsięwzięciem energicznych środków dla zaradzenia mu. Pułkownik Williams, wymieniany przez lorda Redcliffe jako człowiek zdolny zreorganizować tamtejszą armję i z tego powodu awansowany na jenerała, nie osiągnął rezultatów jakich można było spodziewać się od wojskowego tak doświadczonego i tak żywo zaleconego przez ambasadora angielskiego. Rzeczy ciągle są w jednakowym stanie i jeśli rząd zbłądził że nie przewidział z wytrwalszą troskliwością i nie zaspokoił wszelkich potrzeb swojej armji w Azji, należy jednak przyznać, że i dowódcy tego wojska nie są wolni od zarzutu.

Pod tym względem lord Redcliffe nie miał szczęśliwej ręki i dwaj wyżsi oficerowie których on narzucił Porcie, jenerał Guyon i pułkownik Williams, nie osiągnęli wielkich rezultatów. Nie ma wątpliwości, że chociaż nie zawsze posiadali w swoich rękach pożądane środki działania, mogli jednak zrobić nieco więcej i nieco lepiej jak to co zrobili.

Zobaczemy teraz jakie są środki postanowione na owem posiedzeniu rady. Jeśli tylko będą one praktyczne, to teraźniejszy minister wojny jest człowiekiem, który potrafi korzystnie je obrócić i użyć zręcznie i śmiało władzy jaka mu zostanie powierzoną, a której nie zawsze mógł użyć jego poprzednik, z powodu ciągłej opozycji lorda Redcliffe.

Osoby które na wszystko zwracają baczność, uważały, że Reszyd-pasza nie znajdował się na przedwczorajszem posiedzeniu.

Jutro lub pojutrze oczekują tu Ali-paszy. Niektórzy utrzymują uporczywie, że on prosić będzie Sułtana, aby mu pozwolił zrzec się godności wielkiego wezyra, ale zdanie to nie znajduje ogólnej wiary.

Od wczoraj przybyło tu mnóstwo statków angielskich i francuskich przysłanych z Krymu z ranionemi.

— Czytamy w liście z pod Sebastopola z dnia 18 czerwca:

Wczorajszy dzień zrządził wielką stratę w artylerji francuskiej. Podpułkownik Laboussiere zginął od granatu, który go na miejscu trupem położył. Podpułkownik Laboussiere był dowódcą ataku artylerji po prawej stronie, to jest, że kierował wszelkiemi robotami artyierji w tej stronie. Jego energiczna łagodność, spokojność, zimna krew, która go nigdy nie opuszczała, pewien sposób wesołego zwalczenia trudności, obok tego wielka stanowczość rzutu oka, szybkie postanowienie, łączyły się w nim i wzbudzały dla niego miłość żołnierzy i ufność ich zupełną. Śmierć jego obudziła żal głęboki i powszechny.

Jenerał Brunet poległ z chwałą wpośród swoich żołnierzy, których utrzymywał swoim przykładem. Był to bardzo energiczny charakter, lubiący rzucać się w niebezpieczeństwo, spotykać się z niem oko w oko, była to natura nieco rubaszna ale nadzwyczaj energiczna.

Jenerał Mayran podobno jeszcze żyje, ale lekarre nie mają nadziei ocalić go. Jego piękny wzrost, postawa rycerska, swoboda z jaką szedł w ogień, wszystko w tych ważnych okolicznościach zwracało na niego uwagę i unosiło żołnierzy. Jeśli umrze (już umarł), armja utraci szlachetne serce i dzielnego żołnierza. Jenerał Mayran zastąpił księcia Napoleona w dowództwie 3ej dywizji.

Armja sardyńska, jak wszystko co tu świeżo przybędzie, silnie została dotknięta cholerą. Jednakże już jest w tem widoczne polepszenie. Zdarzyło się także kilka przypadków w armji francuskiej. Jest to haracz zapłacony powrotowi upałów, w ogóle jednak stan zdrowia jest pomyślny.

— *Presse* podaje następujące korespondencje z pod Sebastopola:

19 Czerwca. W niedzielę przez cały dzień strzelano do wieży Małakowa i otaczających ją werków. Sprawiono w nich znaczne szkody, a my nie ucierpieliśmy nic prócz od ognia floty, którego nie mogliśmy oddalić, fortyfikacje nie odpowiadały na nasz ogień, być bardzo może, że usunięto działa ze strzelnic i że zachowano je na chwile szturmu.

Jakoż wczoraj o godzinie 3ej z rana, nasze kolumny zaledwie ruszywszy, zostały przyjęte najstraszniejszym ogniem jaki kiedykolwiek widziano. Wszystkie działa z Małakowa strzelały kartaczami a jednak nie zdołały wstrzymać naszych żołnierzy, którzy weszli na parapety i wdarli się na fortyfiacje.

Niepodobieństwem było utrzymać się w nich. Rosjanie ustawili za Małakowem 30 dział polowych, które strzelając kartaczami w odległości tylko 100 metrów, zmiatały całe terrytorjum nie zostawując jednego człowieka na nogach. Prócz tego w asekuracji tych dział znajdowała się prawdziwa armja, 20.000 żołnierzy, którzy karabinowym ogniem zwiększali skutki kartaczy, a nakoniec flota miotała także salwy nieprzerwane i równie mordercze.

Dwa razy kolumny nasze wracały do ataku i dwa razy potrzeba było cofnąć się. Niepodobna wyobrazić sobie huk artylerji i wrażenie jakie on czynił na tych, którzy z daleka będąc od placu bitwy usiłowali odgagnąć rozmaite jej szanse.

Straty nasze są znaczne. Jenerał dywizji Brunet poległ, a jenerał Mayran otrzymał trzy postrzały.

Anglicy podobnie jak my wdarli się do Redanu, na który uderzali, ale jak my równie nie mogli się utrzymać i stracili 1.200 ludzi, trzech jenerałów poległych i dwóch ranionych. Jak zwykle po każdem niepowodzeniu staramy się wytłomaczyć jego przyczyny i zwalić winę na sąsiadów, tak też i w tym razie utrzymują w naszym obozie, że gdyby Anglicy utrzymali się w Redanie i my bylibyśmy mogli pozostać w Małakowie, a niewątpliwie Anglicy mogą z taką samą słusznością powiedzieć, że gdybyśmy nie opuścili Małakowa, oni byliby się utrzymali w Redanie. Tego rodzaju zarzuty są bezzasadne i bezużyteczne, należy niepowodzenie przypisać niepodobieństwu utrzymania się w obec ogromnej artylerji, która piorunowała tak na nas jak na naszych sprzymierzeńców.

Dnia 19 na pokładzie..... Lada chwila oczekujemy nowej sprawy, więcej może strasznej niż poniedziałkowa. Prawdę mówiąc nie wiemy co zaszło. Mówią o zwycięztwie w jednym punkcie a niepowodzeniu w drugim, o jenerale Brunet poległym, a innych ranionych, o zdobyciu Małakowa przez jenerała Audemarre, i na tę wiadomość skakaliśmy z radości, ale

pokazało się w końcu, że była mylna. Nie mogę więc powiedzieć nic pewnego; rzucamy tu sobie nowiny z jednego statku na drugi, bez szczegółów, a szczególnie bez pewności.

Nie mówię nic o wyprawie do Kerczu, bo to już rzecz stara; smutna rzecz, że ona skalaną została czynami okrucieństwa i rabunku. Europa przekona się, że Francuzi nie należeli do tych smutnych nieporządków i że wszystko czynili, aby im zapobiedz. Dowódca okrętu *Charlemagne*, któremu powierzono policję w Kerczu, nie był w stanie zapobiedz rabunkowi miasta. Patrole zmuszone były użyć broni przeciw żołnierzom i jednemu oficerowi tureckiemu. Piersi zostali zabici, drugi raniony. Jenerał Audemarre zażądał od paszy rozstrzelania jeszcze dwóch żołnierzy.

Te fakta nie mogą na nieszczęście być podane w wątpliwość. Rossjanie znają je tak dobrze jak my. W czasie zawieszenia broni po bitwie dnia 7 przy grzebaniu trupów, jeden jenerał rossyjski powiedział do nas: „Prowadzicie wojnę szlachetnie! ale cóż powiedzieć o waszych sprzymierzeńcach muzułmanach? Wiecie zapewne o okropnych scenach jakie miały miejsce w Kercz. My wiemy także o nich, są one zaświadczone aktami urzędowemi. Europa dowie się o nich za pośrednictwem prasy niemieckiéj; bądźcie więc przygotowani na ogłoszenie ich.“

Zapomniałem powiedzieć, że kilka statków a między innemi *Valmy* i *Marengo*, zostały wysłane dla przewożenia chorych i rannych do Konstantynopola.

(Independance Belge).

LISTY Z POD ZASŁAWIA.

III.

(Dokończenie).

Jeden z dobrych sąsiadów moich, wzorowie pobożny, zdziwił mię przecież, gdy nie dawno będąc tu w towarzystwie kilku osób w jakiś dzień świąteczny, z tem odezwał się:

— Dziś w kościele, w czasie nabożeństwa zrobił mi dystrakcją jakiś stary szlachcic, tuż obok ławki klęczący; ledwie w głos nie zaśmiałem się. Wyobraźcie sobie państwo, że siwy jak gołąb, a zakończył modlitwę temi słowy: „Ofiaruję ci Boże ten pacierz na cześć twoję, a proszę daj mi zdrowie, rozum, pamięć, naukę i t. d.“ Dobyłem chustki aby ukryć w niej śmiech pusty.

— A to czemu? zapytałem.

— Jakże? człowiek, co ma pewnie lat 60, czyliż w porę ocknął się że mu brak rozumu? A więc do śmierci głupim już będzie! Matunia tak nauczyła w latach dziecinnych, a starzec jakby wczorajszą naukę za panią matką aż dotąd powtarza.

— O przepraszam cię panie marszałku, ozwałem się na to. Że wcześnie, z lat dziecinnych prosił o rozum, pochwalam to matce; a że dziś, prawie już nad grobem, jeszcze o toż samo prosi, to jemu pochwalam. Dobrze powiedziano: „*Qui n'a pas la raison de son âge en a tous les matheurs.*“ Młodzieniaszek, pod kierunkiem starszych, mniéj może pobłądzić, niż człowiek co sam sobą włada, Owe wszystkie dary, o które dziecko nauczone prosi, nie przestają nam być przydatne do śmierci. Myli się ktoby sądził że pamięć i nauka. mają się tu stosować jedynie do lekcji szkolnych dla malców. W obliczu Boga, dzieckiem się stawi każdy z nas, choć o siwym włosie. Błagamy o pamięć na święte przepisy religijne. aby od nich nie zboczyć na trudnéj czasem drodze życia; błagamy o naukę ku pojęciu i zgłębieniu ducha wiary naszéj. Jakoż proszę mnie staremu zaufać w tem, że wyjąwszy ścisłe umiejętności, przydatne społeczeństwu, wyjąwszy historję, co wskazuje narodom czego chronić się mają ku dobru swojemu; wszelka inna nauka, jeśli nie podnosi pojęć i uczuć ku większéj czci Boga, ku poznaniu w pokorze jak mali jesteśmy, nie warta ludzkich zabiegów.

W domu rodziców moich, po obiedzie, jeśli gość nie trafił się; matka zwijając białe nici z prostéj wituszki na kłębek, lub robiąc pończoszkę, śpiewała niekiedy jaką pieśń pobożną. Śpiew był nie uczony; bo też w maleństwie mojem, u szlachcica na wsi, pewnie i nie słyszano o metodzie muzyki wokalnéj.— Cóż państwo powiecie? Oto później, w lat niepomnę wiele, już po trzykroć urzędując, byłem na koncercie Katalani w Krzemieńcu. Dziś w pamięci porównywam zdumiewające, gwałtowne spadki w śpiewie owéj włoszki sławionéj po stolicach Europy; siłę głosu tłumiącego niekiedy chór całéj orkiestry, i sztuczne jakoby ptasie rulady, porównywam z pieśnią domową. O! stokroć słodsze zostały wspomnienia brzmiącego jeszcze w duszy mojéj hymnu matki gdy niegdyś przy swéj robótce, czystym głosem, a rzewnie, wywodziła: *Przed oczy Twoje Panie winy nasze składamy.*

Owoż takie to lube wrażenia domowe z lat prawie niemowlęcych, toczyłyby bój wewnętrzny z wyuczonym cichutko wstydem przed ludźmi, wstydem wierzenia w to wszystko co kościół podaje, co pisma św. stwierdzają. Katechizm, ziarno ręką matki rzucone; zaledwie w sercu krzewić się poczeło, już wzrost jego walczyć musiał z usilnem przysposabianiem do pojęcia Dykcjonarza filozoficznego. Od takiéj bowiem daty mam u siebie to bałamuctwo szyderczo bezbożne.

Przecież, co do mnie, zwycięzko z téj walki wyszedłem. Jeden tylko nałóg, święcie nam jest przydatny; oto przed snem i ze snu, codzienna Pańska modlitwa. Pospolicie córka grzesznéj Ewy, wszczepia w ród ludzki ten nałóg rozmowy z ojcem w niebiesiech. Późniéj, o woli własnéj młodzieniec, błąka się po bezdrożu, a ona, byle weszła mu w serce, wnet je opanuje na to, aby w modlitwie, rozkosz ducha uczuł. Była i u mnie chwila wahania się, chwila powątpiewań, bo niedołężny rozum, sięgał nad zakres, bo trybem rzeczywistych zasad, ważył się wnioskować o nadziemskiéj tajni. A potem... Mamże wyznać przed wami?... urok lat słowiczych, dziewica anioł i z kształtów i z duszy, przywiodła mię do Boga, nie wiedząc o tem bynajmniéj. O! luba młodości pamiątko! Nie raz wśród wieczornéj samotnéj przechadzki, wodząc okiem po całéj przyrodzie ożywionéj niebem majowem, naciśniony brzemieniem trudności niczem nie zwalczonych, wśród burzy skołatanego serca, lgnąłem ku pogodzie nieba, nie mając jéj w duszy; składałem skargę przed cudną harmonją w naturze, na niezgodę pomiędzy szlachetną skłonnością, a wymaganiem rachunkowych ludzi, i wyniknął pociąg najsłabszy ku rozwagom nad wielkością Twórcy, o którym wiedza nasza byłaby czczą zupełnie, skoro bez przekonania w pewne stosunki pomiędzy Nim, a rzuconym na ziemię człowiekiem, co go swem sercem pojmuje. I ocknęła się nałogowa modlitwa, i na diapazon całego stworzenia, zabrzmiała w duszy harfa Dawida: *Caeli enarrant gloriam Dei!* I błogo było sercu które przed Bogiem składam, Śmiano się z szałów miłosnych, co w jęczących ogłaszałem piosnkach, wiedziano, że wedle rachunków ludzkich, ona nie dla mnie; a przecież temuto uczuciu dla niéj, winienem raj przemarzony owych lat serdecznych; raj, co niejako jest odgadnieniem przybytku, gdzie jaśnieje dziś dusza téj kobiety...

Wśród takich usposobień, wchodząc do towarzystwa młodzieży, wszelkie zdania ich płoche, na wątłym rozumie ludzkim oparte, zbywałem milczeniem. Posądzano mię o hipokryzję: — „Udajesz świętoszka, mówili mi znajomi.“ – Na odparcie takiego zarzutu, odzywałem się głosem rany serdecznéj: — Nie czekajcie niedoli aby się zwrócić do Boga! — Wszakże i mistrz ostatniego wieku, któremu czołem bijecie, powiedział: *Gdyby Boga nie było, to nieszczęśliwy, stworzyłby go sobie.*

Nadewszystko zaś, ojciec mój, był dla mnie wzorem prawego chrześćjanina. Pomijam to że modlitwa, była duszy jego ciągłym żywiołem, przy któréj niekiedy wśród szeptanych łacińskich pacierzy, zawsze z pogodną, zawsze z wesołą twarzą, do każdego towarzystwa wjednoczyć się umiał; a i w tych modlitwach, zostawując każdemu swobodne czuwanie nad własnem sumieniem, błagał Boga o litość dla wszystkich. Lecz jeśli dotknęło nieszczęście jaką bądź ubogą rodzinę, jakże on z troskliwą pociechą, jak z gotowym ratunkiem, bez względu na różnicę wyznań, pośpieszał! Za to też, gdy sam doznał wypadku złamania nogi w Żytomierzu, i tam, wiekiem już nachylony, dziesięć tygodni leżał w domu zacnego przyjaciela, a jeden z podróżnych, przejeżdżał podówczas przez miasteczko od nas o milę, i dosłyszawszy gwar wielki w bóżnicy żydowskiéj, wstrzymał się aby zapytać, jakie to ich święto?

— Nie, odpowiedział żydek, to nie święto, ale modlą się o zdrowie pana starosty co nogę złamał.

Zdarzyło mi się nie bardzo dawnemi czasy przejeżdżać przez to miasteczko, niegdyś sąsiednie rodzicom moim; — starsi mieszkańcy wspominali mi z wdzięcznością, jak po nieszczęsnych pożarach, ojciec mój ratował ich pomocą i kredytem, na cząstkowe uiszczenie się bez żadnych procentów. Był to chrześćjanin w całem znaczeniu. Ileż pogodził sporów, ile małżeństw szczęśliwie skojarzył! Często własne, pilne zaniedbywał interesa, aby polubownym stawić się rozjemcą. Urzędu jednak żadnego piastować nie chciał, rad był tylko aby dzieci zasługiwały na ufność. List miły czcigodnego niegdyś gubernatora G. współziomka naszego, także od dawna już nieboszczyka, a co rzetelnie ojca mojego umiał oceniać, pielęgnuję dotąd, jako pamiątkę współczucia i żalu który przedemną wynurzył, na odgłos ciosu, jaki nam rodzinie śmierć jego w 1825 roku zadała. Wspomniałem wam o tym liście aby okazać jak człowiek prawy zjednywa miłość ludzką, począwszy od najniższéj warsty społecznéj, aż do szczebli wzniesionych znaczeniem. Tak powszechnego był go dzien szacunku ten dziad wasz, którego tu portret widzicie.

Korrespondencja Dziennika Warszawskiego.

UWAGI MÓWNICZE.

Kwestja o Nawojce. Trochę polemiki i poprawa kilku błędów.

Mównikom idzie o fakt mówniczy, historykom o dziejowy i nie mogą się jakoś porozumieć w sporze o Nawojkę, od lat pięciu blisko się toczącym. Choć nie łatwo dziś ostatecznie rozsądzić sprawę, niech mi przecież wolno będzie rzucić tu parę słów w téj kwestji, podniesionéj na nowo w Nr. 135 Dziennika Warsz. z r. b., któréj historją znają dokładnie czytelnicy.

Nie przeczę że być mogło imię kobiece *Nawójka*, ale nie przystaję na to. choćby ta okoliczność największą liczbą wypisów z akt najdawniejszych popartą była, że fakt ten spór już rozstrzyga. Obok wykazania czy było rzeczywiście kobiece imie Nawojka, trzeba jeszcze wykazać czy są zabytki, w którychby, jak to chcą mieć stronnicy Nawojki, imie osoby dla któréj przeznaczoną była książka modlitewna, w tekscie modlitw się wspominało? Aby na to pytanie odpowiedzieć przecząco, trzeba poznać wszystkie podobne dawnych czasow zabytki, aby zaś odpowiedzieć twierdzeniem, dość wskazać na jeden. Otóż właśnie tego jednego nie znam, twierdzić więc nie mogę; a że brak mi pod ręką materjałów do zaprzeczenia, nie przeczę i rzecz chętnie kompetentniejszym zostawiam.

Ale choćby zgodzono się i na to, że wbrew zwyczajowi, w książeczce Jadwigi czy Nawojki, imie mogło być powtarzane w tekscie modlitw, czy nie poda powodu do wątpienia ta okoliczność, że imie to powtórzone jest tylko trzy razy? Gdyby to sama Jadwiga czy Nawojka pisała dla siebie modlitewną książkę. mogłaby tu użyć a tam nie użyć swojego imienia, ale książeczka ta pisaną była dla Jadwigi czy Nawojki. piszący więc, gdyby miał używać imienia téj dla któréj pisał, musiałby używać go częściéj. Zdaje mi się że stąd płynie przekonanie, wbrew pomysłowi o Nawojce przeciwne. Zwyczaj nie wymieniania imion osób modlących się w książkach modlitewnych, choćby rękopiśmiennych, opiera się na przypuszczeniu że byt książki jest dłuższym od życia człowieka; zwyczaj ten najdawniejszych sięga czasów. Jeżeliby piszący odstąpił od tego zwyczaju, pisałby imie Nawojki częściéj, stąd wniosek że nie odstępował.

Jeżeli nikt nie dowiedzie że niekiedy wymieniano w tekscie modlitw imiona modlących się, to Nawojki z akt wypisane utracą siłę dowodu. i trzeba będzie podobno, przyznając fakt że było imie Nawojka, przyznać także, że to imie własne, było także i pospolitém. W takim tylko razie nie mogłoby mieć znaczenia jakie mu przyznaje pan Żochowski. O znaczeniu wyrazu Nawojka, wniosków i przypuszczeń czynić teraz nie będę, czas rzecz rozstrzygnie.

Winienem tu ująć się za dawnym profesorem moim, którego wspomniałem nazwisko.

W skutek obudzonego niby zajęcia do prac mówniczych, pojawiają się u nas czasami takie rzeczy. jak ogłoszona niedawno teorja o pochodzeniu wyrazów rzemieślniczych niemieckich od naszych, jak nowe wyrazy z projektu Słownictwa chemicznego znane, owe np. *wodory*, *wapeny* i pokaleczone wyrazy łacińskie, w celu uczynienia ich podobnemi do polskich; jak wywody nazw wiosek w XVII wieku powstałych z sanskrytu, jak dowodzenia że Polacy pochodzą od Gallów i t. d. Nikt przecież tego *dziwolągami umysłowemi* nie nazywa, dla tego przykro nam było wyczytać w artykule pana F. H. Lewestama *O czasopismach warszawskich* (a) to wyrażenie wystosowane do autora *Części Mowy i Mówni*, w którego żadnéj pracy, tak jak i w zdaniu z przyczyny sporu o Nawojkę rzuconym, tych *dziwolągów* nie widać. Kilka słów przeciw temu wyrażeniu piszę, nie z żadnéj chętki polemicznéj sławy, lecz jedynie w skutek uznania powagi i gruntowności sądu pana L., który, dla tego właśnie że poważny i gruntowny, radbym widzieć szczegółowym, gdy przyjdzie do ocenienia dzieła nie chwilowéj wartości, ale długo-letniéj, wspartéj nauką a zamiłowaniem przedmiotu pracy. Polemika nie obali wprawdzie doraźnego wyroku pana L., mającego może zasadę w przekonaniu krytyka, ale okrytą dla mnie tajemnicy pieczęcią, może przecież obudzić w krytyku chęć do udowodnienia swego zdania bardziéj szczegółowym rozbiorem, co znowu byłoby téj

(a) Ob. Gaz. Codz. z r. b. Nr. 94.

mojéj odezwy najprzyjemniejszym dla mnie następstwem.

Ogół czytelników wykarmionych na tak zwanych *pół-poważnych* dziełach, nie jest zaprawdę właściwym sędzią *Mówni* Żochowskiego, któréj należy się ocena fachowa i poważna. Ogół ów w pisowni jego ujrzał *jotę* i *jotę* potępił, dzieła się przeląkł, bo w nim belletrystycznych przynęt nie szukać i potępił je nie czytając. Zdanie tego ogółu bardzo dobitnie wyraził jeden z korrespondentów Dziennika War. (b) skoro w pomysłach Żochowskiego widział *dziwy umysłowe*. Pan L. zszedł się tu z owym korrespondentem w wyrażeniu, co więc wtedy jako wypowiedziane bezimiennie, a zatem bez wykazania praw ocency do tak wyraźnego sądu, nie mogło mieć żadnego znaczenia; dziś przez wzgląd na tego kto rzecz zagaił, nabiera daleko większego znaczenia, nie przeto aby dla tego wyrażenia zmniejszyły się zasługi Żochowskiego, albo gruntowność jego pomysłów, lecz dla tego, że krytyk specjalnie rzecz osądzić umiejący, pisze się na sąd amatorów-mówników i nie uważa za stosowne usprawiedliwić się z tego. Nie jest to zbyt pochlebne dla krytyki naszéj!

Po dowody proszę do *Mówni*, do jéj oceny p. A. Kudasiewicza, i do odpowiedzi na tę ocenę; kogo *jotacyzm* nie zrazi, ten ich znajdzie dość wiele, tyle przynajmniéj że się przekona, iż pomysły Żochowskiego nie są *dziwolągami umysłowemi*.

Żochowski po Kopczyńskim, po Mrozińskim i Deputacji towarzystwa przyjaciół nauk, po Jakubowiczu, posunął daléj naukę języka i tę zasługę przyzna mu historja nauki, jeżeli już w takich nieszczęśliwych okolicznościach żyjemy, że krytyka jéj przyznać nie chce czy nie umie. Nie na wszystko co jest w Mówni pisać się można, a na *jotacyzm* jak najmniéj (choć to nie *kazirodcza*, jak chce mieć p. Sierociński, bo jak najprawniejsza pisownia), alezdla szczegółów zaprzeczać wartości całéj książce, *napisanéj logicznie i zdrowo pomyślanéj* nie godzi się.

Wkońcu niech mi wolno będzie zapytać jaki to *dziwoląg* pisowniczy znajdzie usprawiedliwienie w *Mówni*, skoro jest ona dziwolągów zbiorem? jaki błąd gramatyczny pocerpnie w niéj powagę, by się bezkarnie w pismach naszych mógł rozpierać? Czyż to *Mównia* porodziła takiem zrozumieniem ducha języka tchnące wyrazy jak *wodór* i *wapen* w Słownictwie chemicznem? czy *Mównia* pokaleczyła wyrazy łacińskie? czy *Mównia* wprowadziła takie np. wyrażenia: autor nie rozwiązał *swoje zadanie*, albo: dopełniajmy wzajemnie *nasze błędy*, albo: pan A. zrobił pani B. kompliment i im podobnych tysiące? Czyż *Mównia* dała przykład do tych kaleczących niby prowincjonalizmów? Przekonany jestem, że na żadne z tych pytań nikt mi twierdząco nie odpowie.

Nie spodziewam się także odpowiedzi ale już przeczącéj od nikogo na następną uwagę, któréj wypowiedzenie oddawna leżało mi na myśli. Chcę tu bronić *jaźni*, którąbym (jako wyraz) za ozdobę naszego języka poczytał, a którą p. A. Nowosielski (c) tak bezwarunkowo potępia. Jeżeli czytelnicy przypomnieć sobie raczą ów list pana A. N. pod napisem: *kilka myśli o etymologji*, i przypomną sobie zapewne wniosek do jakiego autor przyszedł, czerpiąc powagę w sanskrycie: »Myśl o *jaźni* jest odtąd tylko niedorzeczną hypotezą.« Śmiało staję w obronie téj niedorzecznéj hypotezy, bo tak źle nie jest.

Pan N. wie, że wyraz *jaźń* utworzony został z wyrazu *przyjaźń*, wie że *przyjaźń* pochodzi od *sprzyjać*, ale nie wie że słowo *sprzyjać* jest złożone, że ma pierwiastek w naszym języku. Po rozświecenie wątpliwości idzie do sanskrytu i tam znajduje, że wyrazy zaczynające się od *pra*, *pri* oznaczają zadowolenie, sprzyjanie, miłowanie i t. p. Stąd prosta droga do błędnego wniosku.

Słowo *sprzyjać*, jak powiedzieliśmy, jest złożone, a to z trzech części: *z-przy-jać*; słowo *jać* w którym jedynie pierwiastek *jaźni* znajdować się może, ten sam ma źródłosłów co słowo *jąć*. Nie jest to żadna hypoteza, ale prawda najoczywistsza, widoczna na innych językach słowiańskiego szczepu, np. *pri-jat-el* ten który nam jest *pri-jat-ny* czyli przyjemny. Na co tu sanskryt? Gdyby pan N. ze słowem *jąć* poszedł do sanskrytu, jestem pewny, że do innego przyszedłby wniosku, że słowem *sprzyjać* musiał zabłądzić. *(d. c. n.)*

(b) Roku 1852 Nr. 100 i 101 z Poznania.
(c) Ob. Nr. 33 Dzien. Warsz. z r. z.

LICHWIARZE WARSZAWSCY.

(Ciąg dalszy).

Konstanty Łupinka błyszczał tu pomiędzy innymi w Warszawie przed kilkoma latami. Konstanty Łupinka był to młody chłopak wybornie zbudowany, wąsaty i brodaty, z gęstą czupryną, ślicznemi czarnemi oczami, umiał trochę po francusku, i czytał nawet kilka romansów. Przeprowadzeni go przez szkoły było tour de maitre jego ojca, bo z żadnéj prawie klassy nie dostawał promocji, i tylko *piecem* wchodził do następnéj jak mówili jego koledzy. Matka odumarła go w dzieciństwie, a ojciec jego jakby czekał tylko na to, żeby kochanego jedynaczka *wykierować na ludzi*, bo uzyskawszy dlań patent, który nawiasem mówiąc bardzo drogo kosztował, na sutym obiedzie, który na podziękowanie za łaski wyświadczone synowi dawał dla wszystkich jego profesorów, golnął zazbyt wiele fabrykowanego węgierskiego wina. Przyszła piorunująca apoplexja, i w jednéj chwili Kostuś ujrzał się sierotą. Pozostały mu w spadku majątek ziemski wartujący od trzydziestu do czterdziestu tysięcy rubli i kilkanaście tysięcy gotówką, krwawy owoc trudów i oszczędności rodzica, zachowany w dębowéj skrzyni z żelaznem okuciem, która się pod łóżkiem znalazła.

Kostuś objąwszy to wszystko, a był to już chłop pod wąsem, bo szkoły pomimo silnéj protekcji dwanaście mu lat czasu zajęły, Kostuś mówię ujrzawszy się na czele tak pięknéj fortunki, pomyślał chwilę, czy za granicę czy do Warszawy pojechać Ale bardzo słusznie mu poradził jeden z jego sąsiadów dzierżawca na małéj wiosce, który niegdyś hulał także w Warszawie, że o paszport będzie bardzo trudno, i zresztą zawsze się znajdzie czas na to później, a teraz trzeba pożyć trochę w Warszawie, boć to mówią ludzie że to mały Paryż, i tu także ubawić się można do syta. Przekonany tak niezbitemi dowodami Kostuś, przyjąwszy natychmiast rządcę, i urządziwszy się z nim o regularne przysyłane pieniędzy, co było najważniejszym punktem kontraktu, wziął całą gotówkę na drogę, pobrał od swojego przyjaciela dzierżawcy niektóre adresa i listy do znajomych mu osób, i przyjechał tu rzucić się na łono wielko-miejskiego życia.

W przeciągu niespełna roku pieniądze się wydały, ale przez ten czas Kostuś ucywilizował się znakomicie i nauczył się mnóstwo pięknych i pożytecznych rzeczy, a pomiędzy niemi i tego, że kiedy brak już pieniędzy, trzeba iść do Moszka, który przejrzawszy hypotekę, natychmiast udzieli pożyczkę i można będzie znowu hulać w najlepsze.

Moszko znał już Kostusia, bo Moszko zna wszystkich co jakąkolwiek rolę grają w Warszawie między młodzieżą. Wiedział dobrze co do grosza jego stan finansowy, znał jego charakter, przeszłość, stosunki familijne, słowem Moszko umiał Kostusia na pamięć.

Kiedy więc Jakób o żółtéj dorożce, bo Kacper Bocian nie zabłysł był jeszcze wówczas na horyzoncie dorożkarskim, kiedy więc mówię Jakób zajechał huczno przed mieszkanie Moszka, przezorny lichwiarz już się spodziewał wizyty, bo uprzedzili go o niéj ci właśnie przyjaciele, którzy Kostusiowi poradzili udać się do niego.

Kostuś wpuszczony został do bardzo ładnie urządzonego pokoju, gdzie zasiadłszy na safianowym fotelu, w te słowa rzecz swą rozpoczął.

— Panie Moszko, dziwi pana zapewne, że się tak sam udaję do pana, bez znajomego, coby powiedział panu kto ja jestem, ale....

— A na co to rekomendacjów?— zawołał Moszko powstając z miejsca, — albo ja pana nie znam, czy to mi od dzisiaj żyć w Warszawie cy co? Ja z pańskim ojcem miewał różnych interesów i bardzo mi wielkie szczęście będzie co bym ja mógł panu w czém dogodzić.

— Nie ma co obwijać w bawełnę panie Moszko interesu, który mnie tu sprowadza. Jednem słowem potrzebuję pieniędzy.

— A dużo?

— Ze sześć tysięcy rubli.

— O to strasznie grube fisch, ja sam nie wiem gdzie pan będzie mógł tyle dostać? Ja bym sam dał panu z wielkim przyjemnościem, ale pozarywali mnie, aż strach co ja mam pieniądzów u ludziów.

I tu zaczął wyliczać wszystkich tych co mu winni pieniądze i nie oddają, a była ich zaprawdę spora ilość.

— Widzi pan,—mówił daléj — to najgorzéj miecz dobre serce na świecie. Ja sam jestem miękki dicht jak wosk, przyjdzie, zacznie prosicz »Mój kochany Moszko daj pieniądzów« to ja i nie mogę odmówicz, a kiedy przyjdzie do oddania, to pan go i na cały szwiecie nie znajdzie, ot jak pan wie »kiedy bieda to do żyda, a po biedzie.....« bo ja się nie wstydzę proszę pana, ja jestem sobie żyd, ale żyd uczciwy i porządny i nie tak jak tych innych szachrajów. No, ale ja panu chciałbym wygodzić wszelkim sposobem, tylko to strasznie wiele, ja sam muszę się staracz, a nie wiem czy dostanę.

— Mój panie Moszko, mnie mówili, że pan rzadko kiedy robisz trudności, a na mnie tak pan jesteś nie łaskaw.

— Bo ja mówił panu co ja mam za dobre serce, oni wszyscy »Moszko daj pieniądzów« a jak Moszkowi samemu zabraknie to co to będzie.

— E już pan Moszko da sobie radę zawsze.

Lichwiarz się uśmiechnął.

— To nie o to idzie, czy ja sobie dam radę, to moja w tém rzecz, ale ja bym chciał jakim sposobem dla pana wygodę sporządzić.

— Bo co do pewności.....

— Kto tu mówi o pewnoszczy, albo ja pana nie znam, pan żyje z najpiękniejszemi ludziami w Warszawie, hrabia Alfons, książę Jan, to są najlepsze towarzystwo tutaj, najpierwsi moi kuntmani. A i panna Pelagja bardzo ładna panna, oj pan jesteś figlarz, ona dużo pana musi bardzo kosztować. Ale dla czego pan pojazdu nie trzymasz?

— Bo to bardziéj po pańsku jeździć dorożkami, daleko lepiéj jakoś wygląda.

— To swoja rzecz, trzeba miecz i pojazd i dorożkę najętą. A cóż to czy pana nie stacz na to. Już ja o tém pomyszlę. No niech pan do mnie przyjdzie za trzy dniów we czwartek, to może ja już pieniądzów będę miał. Znam tu jednego kupca, co zawsze ma gotowe kapitał, tylko mu trzeba duży procent zapłacicz.

— O procent mniejsza, byleby pieniądze były z pewnością.

— Niech pan przyjdzie we czwartek.

We czwartek Kostuś stawił się na słowie, i zastał Moszka z dwoma bogatemi kupcami, z których jeden jak mu przedstawił był Fajwei z Płocka, a drugi Jankiel z Hrubieszowa.

Zaraz po przywitaniu Moszko poprowadził Konstantego do okna, i pokazał mu powóz z końmi stojący na podwórku.

— Widzi pan,—rzekł—to mój pojazd, konie prawdziwe arabskie, jeden ma cztery a drugi pięcz latów, nie pozorne, ale co to za rasa? Ten co siwy, to on ma czarne skóre pod szerszcią, to się bardzo drożéj płaci, bo to rzadka rzecz. Oni mnie kosztnją ze wszystkiem trzy tysiąców rubelków, ale jak pan dostanie pieniądzów, to ja panu ich sprzedam za dwa tysiącow, bo ja sam bardzo jestem potrzebny. Nu zgoda,—rzekł—podając rękę.

— Zgoda— rzekł Konstanty — który chociaż wiedział, że konie i powóz ani połowy tego nie są warte, śpieszył się bardzo, żeby pożyczka przyszła do skutku. *(d. c. n.)*

PRZYJECHALI do WARSZAWY.

H. Niem. Borkowski Józef ob. z Budzynka. — *H. Sas* Ciemniewski Seweryn ob. z Gołotczyzny. — *H. Lit.* Czaplicki Wilh. ob. z Szydłowca. — H. *Gerl.* Dąbrowski Tade. ob. z Wyszyny.— *H. Wileń.* Zachert Wilh. ob. z Supraśla.

WYJECHALI z WARSZAWY.

Bukowiecki Józef ob. do Ujazdu, Dębowski Zyg. ob. do Nacpolska, Horodyński Karol ob. do Starogrodu, Szczepanowski Aleksander ob. do Kalisza.

TEATR WIELKI. Jutro: *Lunatyczka.* — *Uroczystośc róż.*

TEATR ROZMAITO Jutro: *Ziemia obiecana.— Panna na wydaniu.*

Dziś rano stopni ciepła 12, wczoraj w południe 20. Wysokość wody na Wiśle stóp 3 cali 4.

W Drukarni J. Unger. — Wolno drukować. — Warszawa dnia 25 Czerwca (7 Lipca) 1855 roku. — Starszy Cenzor F. Sobieszczański.